

Kreskówka w operze

Gdy nieżyjący od dawna kompozytor ożywa i puszcza do nas oko już w uwerturze do swojej opery, nie mamy wątpliwości, że dalsza część przedstawienia będzie dowcipna i zaskakująca. I nie mylimy się – taki właśnie jest „Cyrulik sewilski”, pokazany tuż po nowym roku w Teatrze Wielkim w Łodzi. Ta pierwsza bodaj premiera 2014 roku na łódzkich scenach to świetna propozycja na karnawał – pozwala beztrudno cieszyć się muzyką i teatrem, nie zmuszając do trudnych przemyśleń i refleksji. Realizatorzy (spektakl wyreżyserowała Natalia Babińska, scenografia jest dziełem Diany Marszałek, a pyszne kostiumy – Julii Skrzyneckiej) mieli znakomity pomysł na uwspółcześnienie niemal dwustuletniego dzieła Gioacchina Rossiniego tak, by jednocześnie nie przybliżyć go do realnego świata. Stało się to możliwe dzięki przyjęciu konwencji Disneyowskiej kreskówki. Tę ideę poznajemy już podczas uwertury (współczesna publiczność jest niecierpliwa, nie lubi „tylko” słuchać, podczas gdy scena pusta): na naszych oczach tytułowy bohater rysuje panoramę Sewilli, co przywodzi na myśl włoski miniserial *La Linea* lub polski *Zaczarowany ołówek*. Zamysł reżyserski wspiera wyrazista szata kolorystyczna kostiumów i dekoracji: na scenie użyto tylko trzech kolorów podstawowych w nasyconych, czystych odcieniach – żółtego, czerwonego i niebieskiego – oraz bieli i czerni. Każdy z bohaterów nosi kostium jednokolorowy z wyjątkiem Figara, którego strój łączy wszystkie barwy, tak jak jego postać spaja różne wątki libretta i jest kołem zamachowym akcji scenicznej.

Jednobarwność i wyrazistość graficzna postaci sprawia, że wydają się być dwuwymiarowe, niczym z teatrzyku cieni. To wrażenie potęgują artyści baletu, którzy jako czarne cienie w niektórych scenach dublują głównych bohaterów. Podobny charakter mają rekwizyty: płaskie kształty roweru, lodów albo kieliszków nie udają, broń Boże, prawdziwych, są niezwykle naturalne i przekonujące w swej sztuczności. Efekt komiczny wywołują chórzyci z niby-karabinami, ogromna kłódka, którą Bartolo odgradza piękną Rozynę od zalotników, kula u nogi, którą jej w desperacji przytwierdza... Śmiesznych momentów nie brakuje.

Najlepsza nawet inscenizacja nie zdoła jednak umniejszyć znaczenia muzyki w teatrze operowym. O tym, że partytura Rossiniego jest piękna, lekka, dowcipna – nie trzeba nikogo przekonywać.

Niestety, jej wykonanie podczas premiery nie dorównywało warstwie wizualnej dzieła. Orkiestra momentami grała nie dość precyzyjnie, tu i ówdzie zabrakło pełni brzmienia, a gdzie indziej – finezji w wykonaniu szczegółów, w które obfituje to dzieło. Od dyrygenta Eraldo Salmieriego (od grudnia kierownika muzycznego Teatru Wielkiego) można oczekiwać większej dbałości o tempa i o spójność brzmienia poszczególnych grup wykonawców. Także chórzyci, choć realizowali ciekawe zadania aktorskie, od strony wokalne swego występu nie mogą zaliczyć do udanych.

Wśród solistów niekwestionowanym liderem był Tomasz Rak jako tytułowy golibroda – gdy pojawił się na scenie, muzyka nabrała kolorytu. Młody artysta, na co dzień związany z Warszawską Operą Kameralną, dysponuje dźwięcznym barytonem, któremu potrafi nadać wiele barw i nastrojów. Jest też świetny aktorsko – jego bohater anektuje całą scenę, skupiając na sobie spojrzenia widzów i wcielając w życie swą naczelną zasadę: „Bawić się sporo, męczyć niewiele, kieszeń mieć pełną”. W porównaniu z Rakiem blado wypadł występujący gościnnie Leonardo Ferrando (hrabia Almaviva) – jego głos wydawał się nie dość nośny i przestrzenny.

Nazwisko Bernadetty Grabias to gwarancja wykonania na wysokim poziomie. „Cyrulik...” to potwierdził, choć można by życzyć sobie lepszego wyrównania wokalnych rejestrów. Aktorsko natomiast zaprezentowała się wyśmienicie. Publiczność bawił znakomity w zadaniach komediowych Grzegorz Szostak jako stary doktor Bartolo, nie można też nie wspomnieć o Patrycji Krzeszowskiej, która niewielką rolę Berty potrafiła przedstawić tak, że stała się godna zapamiętania.

Najnowsza inscenizacja „Cyrulika sewilskiego” dowodzi, że uwspółcześnienie opery niekoniecznie oznacza roztrząsanie bolesnych egzystencjalnych rozterek. Brawa należą się młodej reżyserce Natalii Babińskiej – jest ona jednocześnie muzykiem i zapewne dzięki temu tak dobrze rozumie

operę. Warto wybrać się na ten i kolejne przygotowane przez nią spektakle.